

Maria Parys

ARCHIWUM WSCHODNIE

Archiwum Wschodnie 63

Nazywam się Maria Parys, urodziłam się w 1910 r. pod Lwowem w majątku Gaje Dydkowieckie. Nie wychowywałam się u rodziców, tylko u matki ojca, ponieważ pochodzę z rodziny polsko-ruskiej, a babka była Polką i chciała mnie wychować u siebie do 10 lat. Po I wojnie zamieszkałam u ojca i jego drugiej żony we Lwowie. Chodziłam do tzw. szkoły wydziałowej. Dyrektorka pani Kruszyńska dobierała sobie odpowiednie nauczycielki. Uczono tam nie tylko języków obcych, ale różnych prac związanych z różnymi zawodami. Ponieważ lubiłam książki, wybrałam sobie introligatorstwo i uczyłam się haftów. Po ukończeniu tej szkoły zapisano mnie do <sup>prywatnego</sup> seminarium nauczycielskiego. Rok przed maturą poznałam swojego męża i wyszłam za mąż. Zamieszkałam w Białymstoku. Broniłam się przed wyjazdem ze Lwowa, bo miasto mi było bliskie. W Białymstoku przeżyłam prawie całą okupację.

Wakacje z moją córeczką tuż przed samą wojną spędzałam na Wigrach i tam nie wojna zaskoczyła. Granica już była ustalona... Wpierw weszli do Białegostoku, Augustowa Niemcy, a za Augustowem Sowieci. Na szczęście przed wojną pracowałam społecznie w Towarzystwie Krajoznawczym i uratowali mnie tam dobrą informacją. Dostałam przepustkę od komendanta wojskowego, który zezwolił mi wrócić do domu. Także na granicy z Niemcami nie miałam kłopotów, a potem taki malutki kłopot był z Sowiecami, ale jakoś się wybroniłam.

Wróciłam do domu i otrzymałam wiadomość, że jestem bardzo potrzebna na Litwie, gdzie nasi wojskowi zostali internowani. Z umówionym wieśniakiem spod granicy, który znał dobrze język litewski, przedostałam się do obozu. Było to w październiku. Obóz ten znajdował się w Birsztalach, przed wojną był tam ośrodek leczniczy. Tam spotkałam bardzo dużo oficerów, w tym wielu z Białegostoku (sądowników).

Jak się tam dostałam? W Polsce dojechałam do Marcinkańców, tam się połączyłam z wiadomym przewodnikiem. Musieliśmy okrążyć rzekę przez Troki i inne miejscowości. Dopiero na stacji Jewie, która została podczas wojny całkowicie zniszczona, ale pociąg jeszcze wtedy chodził, wsiedliśmy w pociąg do Kowna, a z Kowna autobusem do obozu. W autobusie siedziało grono mężczyzn cywilnych, elegancko ubranych, w średnim wieku

*na punkt granicy*

Całą drogę myślałam, w jaki sposób przedostanę się do obozu. W ~~Martin~~  
~~kuchni~~ grupa mężczyzn także wysiadła. Przystanek był tuż obok bramy,  
więc ja za nimi i przewodnikowi powiedziałam, żeby nic nie robił, tylko  
to co ja. Brama szeroko była otwarta. Za bramą kilkanaście kroków w  
szeregu stali oficerowie litewscy i salutowali przybyłych. Ci mężczyźni  
w cywilu to była ponoć <sup>angielska</sup> ~~angielska~~ wizytacja obozu - tak mi przynajmniej  
powiedziano. Gdy uszliśmy kilka kroków, oni prędzej od nas, ja celowo  
powoli, zobaczyliśmy na prawo mały drewniany domek. Stała tam ławeczka,  
na której siedział nasz podoficer w mundurze. Jednym skokiem dostała  
się do niego i pytam: "Gdzie są nasi oficerowie?" "Wszystko pani powiem  
w kancelarii". Weszłam do domku. Zapytam o osobę, która mnie wzywała.  
Był to były prokurator, a potem sędzia, pan Korab Karpowicz<sup>CZ</sup> (już nieste-  
ty nie żyje, zmarł w Polsce, przed wojną pracował w Towarzystwie Krajo-  
znawczym). Pan Karpowicz wiele lat po wojnie wrócił do kraju. Spotkałam  
się z nim siedząc z wnuczką w parku. Ponieważ wiedziałam, że tam naszych  
oficerów rozstrzelali, byłam w ogromnym szoku - skąd on się tu wziął?!  
Wszystkich rozstrzelali, a on jest! Pytam, jak to się stało. A on mówi:  
"Nie byliśmy zawodowymi oficerami i nas oddzielono od oficerów, a potem  
zwolniono". Prawdopodobnie z wszystkimi Polakami wyszedł z Andersem -  
tak przypuszczam. Potem wrócił były prokurator, Ojczyński. Po powrocie  
miał proces w Warszawie z innymi oficerami.

Ale wracam do tego domku. Kancelarię prowadzili polscy podoficerowie.  
Wszyscy internowani byli tam zanotowani. Więc pytam się go, gdzie mogę  
się spotkać z p. Karpowiczem. Zajrzał do książki i powiedział: "Wszyscy  
oficerowie są oddzieleni od żołnierzy, nie można im się stykać z żołnie-  
rzami. Pójdzie pani aleją i zobaczy biały domek. To są były łazienki.  
I tam pani spotka naszych oficerów".

I tak szłam. Nikt tam nie pilnował. Tylko na bramie stał litewski  
żołnierz dyżurny, jak to w koszarach, a reszta otoczona drutem kolczas-  
tym. Ci, którzy mieli możliwość zdobycia ubrania cywilnego, uciekali.

W byłych łazienkach na drzwiach wizytówki, kto tam mieszkał. Od razu  
zapukałam i tam był p. Karpowicz z drugim sędzią. Aż zbladł z wrażenia,

jak mnie zobaczył: "Co z moją rodziną? Co Sowieci?!" Ja mówię: "Jeszcze cisza, ale prawdopodobnie... (mieszkali w Białymstoku w domach urzędniczych). Byłam przed wyjazdem u pana rodziny i powiedziałam w porozumieniu z moim mężem, że jeżeli was będą usuwać, to proszę, z dziećmi przyjd<sup>ź</sup> do nas". I potem jego żona tak zrobiła.

Byłam tam dwie doby. Przyjęłam mnóstwo listów do rodzin i musiałam wracać. W listach były polskie pieniądze, które tam nie miały prawie żadnej wartości, bo Litwini za 100 zł polskich płacili 1 lit, a po stronie Niemców były jeszcze normalne ceny. Byłam tak tym wszystkim przygnębiona...

To był zwyczajny obóz, otoczony drutami kolczastymi, przez który od biedy można było przejść. Nikt dookoła nie pilnował, tylko na warcie. Litwini chętnie pozbyli by się wszystkich Polaków, bo trzeba było ich karmić! Litwinom wszystko było jedno - uciekł to uciekł, wszystko w porządku. Łącznikiem pomiędzy oficerami a żołnierzami był dr Rozbicki z Warszawy. I on jako lekarz miał możliwość kontaktowania się ze wszystkimi żołnierzami. Niestety wszystkie nazwiska oficerów będących w obozie zniszczyłam, do niedawna jejsz<sup>ę</sup> jeszcze pamiętałam.

Późną jesienią o 16 było już ciemno. Zajechał autobus przed bramę i na nasze szczęście wychodził do autobusu litewski oficer, ja za nmi i pociągnęłam za sobą zbaraniałego przewodnika, który się wahał. Jedną ręką go pociągnęłam, a drugą ręką pokazałam żołnierzowi na warcie, że my idziemy za tym oficerem. Wsiadliśmy do autobusu. "Radziliśmy się, że już piechotą tyle kilometrów nie będę mogła dojść. "Proszę mi wybrać krótką drogę". Więc on wybrał, ale tam była rzeka, ale to nic, bo skoro jest rzeka, to musi być most, a jak będzie most, będzie jakaś władza. I tak było.

Po drodze była przesiadka do innego autobusu. Zrobiło mi się szalenie słabo. Miałam wprawdzie sole <sup>orzeźwiający</sup> ~~orzeźwiający~~, ale musiałam być bardzo blada, bo podszedł do mnie jakiś nieznajomy pan i zapytał mnie po polsku, w czym może mi pomóc. I dokąd ja jadę?

- Wracam do Polski - odpowiedziałam.

- Proszę panią, nie ma mowy, żeby panią tamtędy puścili. W ogóle nie pozwolą pani wyjść z autobusu. Ale ja jestem inżynierem Polakiem i buduję im most, więc jak pani nie ma nic przeciwko, to ja powiem, że pani jest moją rodziną.

- Ja jestem także z przewodnikiem, proszę pana.

- Dobrze.

Dojechaliśmy szczęśliwie. Rzeczywiście tak jak mówił - byłabym nie przeszła. Ten pan znalazł mi jakieś lokum tuż przy rzece u jakiejś roszadziny, a sam zabrał przewodnika. Na drugi dzień dowiedziałam się, że oczywiście jest tu biuro i dyżuruje codziennie oficer litewski, ale ja nie mówiłam po litewsku, więc wysłałam przewodnika. Wrócił momentalnie - przerażony.

- Co się stało? - pytam.

- A tu jakiś Żydek powiedział do oficera, że on musi przejść granicę, a on go wyrzucił i krzyczał na niego.

- To do niego krzyczał - mówię - nie do pana. ~~xxxxxxx~~.

Ubieram się. - Dokąd pani idzie? - pyta zdziwiony.

- Jak to gdzie? Do biura idę!

Akurat była zmiana wartownika. Pozdrowiłam go po niemiecku, a on zapytał, czy Polka jestem. Mówię, że tak. I że przyszedłam prosić o przepustkę na przekroczenie granicy. Bez słowa wypisał i dla mnie, i dla przewodnika.

- A co pani robiła na Litwie?

- Odwiedziłam swoich braci.

- A gdzie?

- W Birsztalach - czego będę kłamać? On może i wiedział już?... Po-dziękowałam mu grzecznie i wstałam, a on mówi

- Proszę pani, a co tam u was się dzieje, w tej Polsce?

- Tam są Sowietci - mówię - a za Bugiem Niemcy stoją.

- Na moście - mówi - będzie pani rewidowana.

A ja miałam tyle pieniędzy!... I listy... Pieniądze miałam w dwóch dużych rulonach w głębokich kieszeniach. I któryś z oficerów włożył mi

4 lity. Nie chciałam ich przyjąć, bo wiem, że niektórzy palą - "Ale może się pani przydadzą..."

Idziemy z przewodnikiem po moście, dochodzimy do małej budki. Wiedziałam, że przejdę - czułam to. Kobieta wyszła do kontroli, a mężczyzna przejrzał dokumenty. Pyta się, ile mam litów. Spokojnie otwieram portmonek i pokazuję te 4 lity. I on tak zagadkowo na mnie spojrzał i uśmiechnął się. No więc poszłam tak normalnym krokiem po takim zboczach i tylko czekałam, aż nas zawróci. Kiedy ich już nie było widać, pędem pobiegliśmy do lasu.

Tylko Litwini pilnowali granicę, Sowieci byli dopiero w mieście i dyktowali. Litwinów jeszcze nie zaczepiali, tylko może bali się, żeby Litwini nie puścili internowanych Polaków; niektórym udało się samolotem wystartować do Anglii.

No i tak przeszliśmy daleko, potem jakąś cichcią dojechaliśmy do Grodna, tam mieliśmy przesładkę. Przewodnik przeprowadził mnie do polskiej, **s o w i e c k i e j** granicy i wrócił do domu. W Grodnie nie było żadnych kontroli, tylko straszny bałagan. Dojechałam do Białegostoku. Przenocowałam. Mąż tylko ręce załamывał - "Co ty robisz, dziecko w domu!" →  
← Część listów rozdałam w Białymstoku, a potem resztę zawiozłam do Warszawy.

Granicę sowiecko-niemiecką przechodziłam od wsi do wsi. Bug ominęłam. Potem taki mały był pociąg i tam już po tamtej stronie do Warszawy. Wszystkie listy oddałam w Warszawie, Jarosławiu, w Przemyślu, w Rzeszowie...

Po rozdaniu listów momentalnie wróciłam do domu. Poszłam do gospodyni oficera, by zowieść cywilne ubranie. Wszystko mi dała, garnitur, jego cywilne ubranie, ubrałam to na siebie, tylko spodnie zwinięte. I oficera kapitana - Gustawa Bilewicza - wzięłam ze sobą. Z nim się rozstałam na granicy litewskiej, bo gonili za nami, a przewodnik, ten sam, przeprowadzał nas przez bagna. Ja miałam dla oficerów małą walizkę tytoniu. Bałam się, żeby nas nie złapali, bo on miał samolotem lecieć do Anglii z Kowna. No więc gonią nas. Hałastrą na wsi, ci - jak oni tam się nazywali? - komuna, tfu! Bo Sowieci przy granicy mieli swoich ludzi - to może jacyś komuniści...

Więc bałam się, żeby go nie złapali. Oni mieli nad granicą swój domek, urząd i tam czatowali. I nocą, gdy my przez ten las przechodziliśmy, puściłam ich przodem. Ziemia na Litwie jest kamienista i ten oficer co chwila zaczepiał butami o kamienie i głos szedł daleko. I raptem za nami "Stój!" No więc ja do nich: "Nie oglądajcie się na mnie, lećcie do przodu. Oni pobiegli, a tuż, tuż ci byli i ja machnęłam tą walizką - "Macie na żer!", a przez las sama doszłam do Marcinakańców, <sup>do domu - przedpokoju</sup>

Nie, pomyliłam się. Jak oni nas gonili, to ja przeszłam naokoło szosę, nie wiedziałam, że tam jest ich dom. Z domu wylecieli... I ja myślę sobie - jak zaczną strzelać i ja mam zostawić sierotę, dziecko, to się może dogadam.

- Czego chcecie ode mnie?! - Myślałam, że to nasi ludzie, ale te draby wsadzili mnie na wóz i zawieźli do Sowietów. Tam trafiłam na Ukraińca, komendanta tej placówki.

- Jechałam coś kupić - mówię - Przecież u nas nie można nawet kupić soli, cukru... A ja mam dziecko.

- Skąd?!

- Z Białegostoku.

- Przecież tam wszystko jest!...

Ale zajechało auto z Żydami, którzy się chcieli dostać na Litwę. Może i jechali z Warszawy, uciekali przed Niemcami. A ponieważ Sowietci wiedzieli, że oni brylantami i złotem handlują, to ich już tam wpakowali na wóz i mnie też. Wszedł tam kierownik i zobaczył mnie, chociaż ja się zaplątałam między nich. Myślę sobie, że jak ich tam zawiozą, ja sobie wysiądę i pójdę swoją drogą...

- A ty kuda?! Kazał mi na Lidę jechać, że przyjedzie autobus i "do domu wracaj!" Zdjęli mnie z tego wozu. Już nie było co... Zajechał wóz i do Lidy. Wróciłam do domu. A mąż:

- Już usiadłaś?

- Jak trzeba będzie jechać, to się ruszę - mówię.

Mąż był specjalistą radiowcem, a Sowieci przynosili aparaty, bo tego brakowało, tamtego brakowało. Ale to było na początku, bo później musiał pracować dla nich na poczcie, a w domu dorabiał popołudniami.

Zaczęły się wywózki. Najpierw poszły rodziny policji, wojska, ci, którzy mieli swoje kamienice albo wille, domki. A na ich miejsce przyjeżdżały rodziny sowieckie - Rosjanie, Białorusini. Nędza z biedą!... Jak oni wyglądali!... Rozpacz! Umieszczali ich w porzuconych mieszkaniach, zamężne mieszkania zabierali dla rodzin oficerów, a zwykłych ludzi, jak wszystkie domy były zajęte, to umieszczali u Polaków. Jak były dwa pokoje, to wsadzali do jednego. Dom, w którym myśmy mieszkali w 2/3 zajął sąd sowiecki, zwykły sąd, taki grodzki za kradzieże, za rabunki, za morderstwa. Sędzia nazywał się Mikołaj Skłarenko, spokojny taki na miejscu Rosjanin. Często przychodził do męża, potem do domu, do nas, prosiliśmy go na obiady. I tak zaprzyjaźniliśmy się z człowiekiem. Od niego właśnie dowiedzieliśmy się w lecie 40 roku, że wszystkich naszych oficerów, internowanych na Litwie wcześniej, pomordowali. Mówił, że "wy ich już więcej nie zobaczycie!" On jako sędzia trochę się bał o tym z nami mówić. I tak się dziwię, że to o naszych oficerach to mu się wymknęło. Był tym strasznie przejęty.

Prokuratorem w tym sądzie była taka Żydówka, która stale jeździła do Moskwy, na doksztalcenie się. I po jednym z wyjazdów pewnie mu to powiedziała.

Było lato 40 r. Moja córka stała chorowała na bronchit. Po zbadaniu lekarka Rosjanka spytała mnie, czy mogłabym z małą wyjechać na Krym. My mieliśmy trochę pieniędzy, a ona powiedziała, że może nam pomóc załatwić przelot samolotem. Zgodziliśmy się z mężem na to. Gdy sędzia się o tym dowiedział, powiedział nam, że dostał urlop i jedzie do rodziców na Kaukaz. "Jak chcecie, to możemy pojechać razem". I namówił mnie. Myślę sobie - nigdy tam nie byłam, lepiej mieć opiekuna. Ostrzegali mnie: "Jak cię tam na spytki wezmą, to więcej możesz już nie wrócić", że różne prowokacje mogą być, ale ja się nie bałam...

I poleciliśmy ze Lwowa, ponieważ z Białegostoku sędzia się bał,

bo jak go zobaczą, że Polkę wiezie, to znaczy, że szpiega wiezie. Nie było żadnych kłopotów, bo miałam ich paszport, dobre papiery. Sędzia namówił mnie; ~~ż~~"Rodzice się ucieszą, jak ze mną Polka przyjeżdżasz". I pojechałam tam z córką. Byłyśmy tam przez tydzień, namawiali, żeby tam zostać. Jego matka opowiadała bardzo dużo, jak im jest ciężko, jakie są straszne prześladowania. Była to religijna kobieta. Pokazała mi stary, cudowny - jak mówiła - obraz Matki Boskiej. Nad łóżkiem wisiał duży dywan, a na nim obraz. Zdjęła ten obraz, czymś podważyła kwadrat dywanu, otworzyła jak maleńkie drzwiczki, a w środku w głębi był ten obraz Matki Boskiej. "Tak nam starym przyszło na stare lata - mówi - że się musimy ukrywać z modlitwą..."

Po tygodniu podziękowaliśmy za gościnę. Pożegnali nas, a sędzia proponował nam, że nas odwiezie na Krym.

Na Krymie byłyśmy jakiś czas, rzeczywiście córce się polepszyło.

(...) (Pomijam dość długi opis zwiedzania Kijowa oraz powrotnej drogi do Polski).

Życie pod okupacją sowiecką w Białymstoku było straszne. Cały czas wywozili, aresztowali, straszne historie, ale mój mąż był cichy, spokojny, w politykę się nigdy nie bawił, ja tylko byłam niespokojna, bo żal mi było ludzi...

A jak Niemcy ruszyli na Rosję, to musieli przez Polskę. Dwa dni wcześniej, to Sowieci nie wywozili Polaków tylko nocą, tylko noc i dzień, noc i dzień. <sup>(Przez dwie doby wywozili.)</sup> A swoim kazali wyjechać, jak już bomby leciały - to była straszna masakra...

Jeśli chodzi o częstotliwość wywozek z Białegostoku, to największe były z początku i w końcu. Ogromne były donosy. Ja sama byłam świadkiem, jak oficer sowiecki szedł koło kościoła czerwonego, a o, takie <sup>y</sup> Zdziałka obskoczyli jego, chociaż on szedł w cywilnym ubraniu... Nie tylko oni donosili, przecież Sowieci mieli tu pełno swóich.

Jeszcze jak tu byli Sowieci, a Niemcy w Warszawie, przyjeżdżało bardzo dużo Żydów. I to bardzo kulturalni, uczeni ludzie, ale nie mieli już gdzie mieszkać - na ulicy, na schodach ich było pełno. Wiedzieli, że tu nie mogą się zatrzymać, to <sup>p</sup>porosili Sowietów,



żeby ich z powrotem do Niemiec. To Sowiéci wpakowali ich do wagonów towarowych i zawieźli... na Syberię. - "Masz Niemców!"

(...) Pominąłem opowieść dotyczącą okupacji hitlerowskiej

W 44 r. weszli Sowiéci, nie ruszali nas, bo mój mąż nie był wojskowym - inwalida z tamtej wojny. A o mnie chyba nic nie wiedzieli, jakoś mąż z Żydami żył w zgodzie i donosów na nas nie było.

Po wkroczeniu wojsk polskich zjawił się u mnie oficer - porucznik, skarżąc się, że jest z nim jego żona, że mieszkają w dużej <sup>(w)</sup>spólnej sali, jego żona nie ma nawet się, gdzie umyć. Więc zostawiłam im mieszkanie na czas, kiedy pojechałam po córkę. Kiedy wróciłam do domu, patrzę - ani jednego mebla, ani jednej łyżki, ani stołka, nic. Za parę dni Święta Bożego Narodzenia. Porucznik w podzięcie wczesniej wyrzucił wszystkich lokatorów, nawet mojego męża, a żołnierze wszystko roznieśli.

Po wojnie profesor Kosiński prosił mnie, abym pracowała w Związku Zachodnim, bo bardzo dużo było repatriantów, którzy wracali z Zachodu. Wszyscy, którzy ze mną pracowali, zajęli się szkolnictwem, a ja sobie dobrałam mały personel i na Mazurach starałam się zaopiekować ludnością autochtoniczną. I tymi, którzy wracali z obozów koncentracyjnych. Moja praca nie podobała się ani partii, ani bezpieczeństwu, Bóg jeden wie, komu jeszcze... Nie podobało się, że bronię Niemców. Jak ja im wytłumaczyłam, że to są Polacy, że wracają z obozów koncentracyjnych, dlatego że należeli do Związku Polaków w Niemczech, to mnie wyśmiali, że za Hitlera to żadnego "Związku Polaków w Niemczech nie było.

W ogóle to był element poniżej, krytyki! Wrogów miałam już i w partii, i w bezpieczeństwie, i cichych, o których nie wiedziałam, ale czułam, że mnie nie nawidzą.

Wreszcie, jak sprawa Katynia gruchnęła po Polsce, a gazety zaczęły wypisywać, że to Niemcy zrobili, napisałam do premiera Cyrankiewicza, żeby pisano prawdę, że wiem, że to nie Niemcy. Poza tym pisałam, żeby młodzież szkolną uczyli w historii prawdy o Polsce.

To było w 47 r. Któregoś dnia wybierałam się z młodszą córką do

Warszawy, a za mną jechał cały czas jakiś ciemny wóz ze znakiem czerwonego krzyża. Szłam powoli, bo dziecko było małe, a wóz też powoli, tuż przy krawędzi, jak chciałam przejść na drugą stronę, momentalnie wybiegło kilku mężczyzn z wozu, okrążyli mnie i zawieźli do zakładu psychiatrycznego w Choroszczy. W aucie był mój mąż - pewnie też go sterroryzowali, tego nie wiem. Rzucili mnie na salę, gdzie były szalone kobiety. Rzuciły się na mnie i zaczęły mnie bić, tylko poduszką zasłaniałam sobie głowę. Po chwili przyszedł doktor i ~~przez~~ przenieśli mnie do separátky, do której po jakimś czasie przyszła jakaś pani. Ostrzegła mnie, żebym nie jadła, bo w jedzeniu jest trucizna. (...) Dokładnie nie pamiętam, ale kilka razy w tygodniu brali mnie na wstrząsy elektryczne, które osłabiły mi bardzo serce i straciłam w ogóle pamięć. Mówiła mi starsza córka, że jej nie poznałam, tak samo było z moją ciocią. Wreszcie na prośbę mojej córki zabrał mnie ze szpitala po 2,5 miesiąca mąż do domu.

Nie wiem do dzisiaj, kto podjął decyzję o zamknięciu mnie w tym szpitalu. Może bezpieczeństwo?... Mój mąż? Może też się ich bał -  
w instytucie w Warszawie  
skąd mogę wiedzieć?... 7 lat się leczyłam, żeby mi pamięć wróciło.  
(...)

Po powrocie do domu nie mogłam chodzić i została zatrudniona u nas gospoia. Pewnego dnia zjadłam trochę kaszy i momentalnie wydawał mi się, że głowa moja nie zmieści się w pokoju. Usnęłam. Jak się zbudziłam, zrozumiałam, że mnie w domu trują, że przysłano tu trucicielkę; była to siostra, pracownica UB. Córka wróciła ze szkoły, były pieniądze i kazałam zapłacić ~~jej~~ jej trucicielce za 3 miesiące. i natychmiast ją oddalić z domu. Po 3 dniach pomalutku zaczęłam chodzić

Kiedy nikogo nie było w domu, przychodzili, wykradali nawet dokumenty z pracy, żebym nie mogła wykazać się świadectwami pracy w Związku Zachodnim.

Później już nie pracowałam. "Niemka!" - mówili. A potem, jak już nie mogli nic, już mnie nie zabili, to okropne - co najgorszego można powiedzieć na kobietę, powiedzieli...